

Jadąc do Babadag i na Majorkę. O reportażach Andrzeja Stasiuka jako źródle wiedzy geograficznej

Źródłem wiedzy o otaczającym świecie, jak wiadomo, są nie tylko prace uznawane za naukowe, lecz także literatura zwana literaturą faktu, w tym zwłaszcza reportaże, a nawet realistyczna literatura piękna starająca się opisać wiernie jakieś miejsce w konkretnym okresie historycznym. Często w pracach naukowych znajdujemy odwołania właśnie do takiej literatury. Usprawiedliwia to traktowanie jej (i recenzowanie) jako źródła wiedzy naukowej, w tym geograficznej. Jednym z przykładów takiej literatury cytowanym w pracy naukowej jest twórczość Andrzeja Stasiuka, w tym jego chyba najsłynniejsza książka *Jadąc do Babadag* (Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2004), za którą zdobył Nagrodę Nike, dystansując Kapuścińskiego z jego wyśmienitym dziełem *Podróże z Herodotem*.

Zachęcony dobrymi opiniami o książce Stasiuka wśród znajomych i zaintrygowany faktem wspomnianej nagrody, sięgnąłem po *Jadąc do Babadag* z czyisto utylitarnym celem uzupełnienia swojej wiedzy faktograficznej o regionie Europy opisywanym w tej książce. Miałem nadzieję, że wzbogaci ona ją tak jak książki Kapuścińskiego czy choćby austriackiego reportażysty Gaussa (porównywanego ze Stasiukiem, również wydawanego przez Czarne). Przyznam się, że książkę czytałem z mieszanymi uczuciami: uznaniem (za chęć i trud docierania do miejsc, gdzie nikomu by się nie chciało fatygować), dezaprobatą (z powodu nieuprawnionych, moim zdaniem, uogólnień), znudzeniem (długimi napszonymi dywagacjami filozoficzno-psychologicznymi), a także z rozbawieniem (z powodu oczywistych błędów popełnianych przez autora w interpretacji tego, co widział i słyszał – błędów, które stawały się podstawą filozoficznych rozważań).

Doszedłem do wniosku, że twórczość Stasiuka należy traktować jako literaturę psychologiczno-filozoficzną relacjonującą głównie stany wewnętrzne autora. Opisywane przez niego fakty i miejsca są tylko pretekstem do wypowiedzania sądów filozoficznych wynikających ze stanu duszy pisarza. Z tego też względu należy ostrożnie podchodzić do tych opisów jako do źródła wiedzy geograficznej. Owszem, Stasiuk jest wielkim (największym?) znawcą środkowoeuropejskich i bałkańskich „szamb i śmietników”, lecz z opisów owych szamb i śmietników nie należy wyciągać zbyt daleko idących wniosków na temat krajów i całego tego regionu Europy, a Stasiuk właśnie to robi. Nie ukrywa zresztą, że głównie interesuje go ta „druga strona” rzeczywistości – peryferyjne miasteczka, brud, smród i ubóstwo, i to jest jego nisza literacka. Odniosłem też wrzące

nie, że Stasiukowi nie chodzi o poznanie rzeczywistości, lecz o potwierdzenie stereotypu Europy Środkowej i Bałkanów jako właśnie miejsc, gdzie panuje „smród, brud i ubóstwo” i ogólnie melancholijna dekadencja. Może to wynikać bądź to z „potrzeby ducha” autora, bądź to z chęci epatowania czytelnika, który żywi podobne uprzedzenia i w lekturze Stasiuka znajduje potwierdzenie swoich poglądów.

Stasiuk jako reportażysta ma istotne słabości wynikające z jego nieznamomości języków niesłowiańskich (a i ze słowiańskimi ma wyraźnie kłopoty) krajów, które odwiedza. Stąd też jego opisy odwiedzanych miejsc są często opisami z perspektywy głuchoniemego analfabety. A przy tym są to z reguły opisy stacji kolejowych, barów przydrożnych i tego, co można zobaczyć z okien samochodu bądź wagonu kolejowego. A to stanowczo za mało jak na źródło wiedzy geograficznej. Nieznajomość języków (i nieangażowanie miejscowych tłumaczy) sprawia, że nie nawiązuje on poważniejszych kontaktów z miejscową ludnością i nie prowadzi rozmów na istotne tematy oraz że popełnia błędy w rozumieniu tekstów (mówionych i pisanych). Nie byłoby to nic wielkiego, gdyby na podstawie błędnego rozumienia tekstu nie snuł filozoficznych dywagacji. Oto np. w książce kilkakrotnie wspomina o młodym (to też ważne) słoweńskim celniku, który w „dziesięć lat po rozpadzie Jugosławii pytał o jugosłowiańskie dinary”. Stasiuk na tej podstawie wyciąga wniosek o inercyjności ludzkiego myślenia. Otóż wydaje mi się niemożliwe, by młody słoweński celnik w dziesięć lat po rozpadzie Jugosławii pytał o jugosłowiańskie dinary. Intuicja oraz znajomość języka słoweńskiego podpowiadają mi, że celnik pytał po słoweńsku (niestety, Stasiuk nie precyzuje, w jakim języku toczyła się rozmowa) o „denari”, a nie o „dinari”. „Denari” to po słoweńsku pieniądze. (W słowie tym dźwięk oznaczony literą „e” wymawia się jak coś pośredniego między polskim „e” i „i”, co dla niewprawnego ucha może brzmieć jak „dinari”). I tak wskutek swego błędu językowego autor wypowiedź słoweńskiego celnika uznał za przykład inercji ludzkiego myślenia.

A oto inny przykład błędu językowego z tej samej książki. Nazwę węgierskiej miejscowości na granicy ze Słowacją, gdzie znajduje się przejście graniczne – Sátoraljaújhely – Stasiuk tłumaczy jako „namiot rozbity na nowym miejscu”. Tłumaczenie to jest dla niego na tyle ważne, że cały rozdział swojej książki tytułuje właśnie „Namiot rozbity na nowym miejscu”. Żeby tak przetłumaczyć nazwę „Sátoraljaújhely”, trzeba nie znać gramatyki węgierskiej (a także geografii Węgier) i posługiwać się jedynie słownikiem węgiersko-polskim. W słowniku pisarz zapewne znalazł słowo „Sátor” („namiot”), nie znalazł słowa „-alja” (żeby zrozumieć, jaką funkcję ono spełnia, trzeba znać gramatykę węgierską), znalazł „új” (nowy) i „hely” (miejsce). Na tej podstawie „zmontował” cały przekład. A w rzeczywistości słowo „Sátor” oprócz tego, że znaczy „namiot”, jest też nazwą góry (wysoki na kilkaset metrów powulkaniczny masyw w kształcie namiotu) dominującej nad miejscowością. „Sátoralja” znaczy „u podnóża Satoru (czyli Namiotu)”, słowo „hely” w zależności od kontekstu należy tłumaczyć jako „miejsce” lub jako „miasto”. W sumie „Sátoraljaújhely”

to po polsku „Nowe Miasto pod Satorem”, a nie „Namiot rozbity na nowym miejscu”. Notabene, miasteczko po słowackiej stronie granicy nazywa się Slovenské Nové Mesto (czyli Słowackie Nowe Miasto).

Najbardziej jednak Stasiuk wprowadza w błąd wtedy, gdy bez dostatecznej wiedzy próbuje wyjść poza opis tego, co widział bezpośrednio, i stara się opisać historię regionu. W tej samej książce jest reportaż z Kraju Seklerów (reportaż ten ma tytuł *Kraj Seklerów* w trzech językach – rumuńskim, węgierskim i niemieckim). Informacja dla niewtajemniczonych – Seklerzy to etniczni Węgrzy w Siedmiogrodzie, osiedleni tam przed wiekami przez węgierskich władców mieli strzec wschodniej granicy państwa. Dziś, gdy granica Węgier przesunęła się kilkaset kilometrów na zachód, Seklerzy znaleźli się w samym środku państwa rumuńskiego, lecz nadal „pełnią straż”, pilnując węgierskości tych ziem, trzymając się języka węgierskiego i religii katolickiej. (Nie wszyscy etniczni Węgrzy w Rumunii są Seklerami – nie są nimi np. mieszkający w Banacie węgierscy kalwini). Tak się złożyło, że przed lekturą *Jadąc do Babadag* (pod koniec 2006 roku) w trakcie „wirtualnej” podróży po Rumunii (czytając rumuńską prasę w internecie) dowiedziałem się o ruchu na rzecz powołania seklerskiego regionu autonomicznego, o zamiarach Seklerów blokowania akcesu Rumunii do UE, jeśli ich postulat nie zostanie spełniony, o ich planach poproszenia Unii o wywarcie presji na Rumunię w tej sprawie, itp. Byłem więc ciekaw, czy problem seklerski jest istotny, jak wygląda on na poziomie życia codziennego. Tytuł reportażu był zachęcający. Niestety, poza filozoficzno-psychologicznymi dywagacjami pisarza reportaż zawiera informację o historii osadnictwa niemieckiego w Siedmiogrodzie (ani słowa o historii osadnictwa Seklerów czy o samych Seklerach) oraz opis tego, co autor widział w Kraju Seklerów. A widział: dwóch obdartusów na zdezelowanych rowerach, gromadę cygańskich dzieci, opuszczony dom ewangelickiego pastora (zapewne nie Seklera, bo Seklerzy są katolikami) oraz przydrożny sklepik (w którym sprzedawca wydał się autorowi etnicznym Niemcem) i mapę Kraju Seklerów w trzech językach. Tyle. W reportażu tym najbardziej zwodniczy jest opis historii niemieckiego osadnictwa w Siedmiogrodzie (nie cały Siedmiogród jest Krajem Seklerów, a współcześnie Niemców w Siedmiogrodzie praktycznie już nie ma) sprawiający wrażenie, że autor coś więcej wie o regionie niż tylko to, co widział. Brak wzmianki o historii Seklerów i o współczesnych stosunkach etnicznych w Kraju Seklerów w moich oczach zdyskwalifikował ten reportaż. Nachodzi mnie nawet bluźniercza myśl, że Stasiuk pomylił etnicznych Niemców siedmiogrodzkich z Seklerami. A to już błąd niewybaczalny.

Irytujące są (przynajmniej dla mnie) daleko idące uogólnienia i wnioski poczynione na podstawie wrywkowych obserwacji. Zwrócę uwagę na dwa uogólnienia, często przewijające się w recenzowanej książce, oraz na jeden „incydentalny”, lecz chyba ważny wniosek. Pierwsze uogólnienie dotyczy podziału Europy na tę „lepszą” i „gorszą” – po której podróżuje autor. Ta druga Europa, jak ją w pewnym momencie określa, rozciąga się „od Kijowa po Split”. Jej cechą ma być m.in. przywiązanie mieszkańców do zwierząt (bydła).

Do wniosku takiego Stasiuk dochodzi, gdy po raz drugi czy trzeci (raz działo się to w Rumunii, za drugim razem pod Sanokiem) na lokalnej drodze natknął się na stado krów czy owiec. Czytając to, przypomniałem sobie, jak wiele lat temu, gdy ze znajomą Niemką jechaliśmy przez Góry Schwarzwaldu, na drodze natknęliśmy się na stado owiec i przez dłuższy czas wlekleśmy się za nim. Mógłbym więc powiedzieć, że również w Niemczech ludzie są szczególnie przywiązani do bydła. A poważnie: jeśli jeździ się lokalnymi drogami po terenach rolniczych, to jest duże prawdopodobieństwo, że natknie się na bydło, i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Na dowód wyjątkowego przywiązania mieszkańców Europy „od Kijowa do Splitu” do bydła powinno ono spacerować po ulicach Bukaresztu czy chociażby Sanoka.

Inne powtarzające się uogólnienie dotyczy niezmienności obyczajów (stylu życia, pracy itd.) mieszkańców opisywanego regionu Europy. Uogólnienie to ma chyba w podtekście wykazać zacofanie tegoż regionu. Jego mieszkańcy zachowują się tak jak przed dziesiątkami i setkami lat. Do wniosku takiego autor dochodzi po kilku chwilach obserwacji, np. pracy mieszkańców wsi. Mam wątpliwości, czy rzeczywiście widzi on wystarczająco wiele, by wyciągać takie wnioski. Na dowód swoich wątpliwości przytoczę pewne wydarzenie. Otóż kilka miesięcy po wejściu Rumunii do UE przeczytałem w rumuńskiej prasie o problemach pewnego górala. Ów bacia protestował przeciw wydanemu właśnie przez UE zakazowi wędrownej hodowli bydła. (Unijny zakaz motywowany był względami sanitarnymi). Baca, właściciel kilku tysięcy owiec w kilku stadach, zatrudnił dziesięciu juhasów (na podstawie umowy o pracę), z którymi kontaktował się przez telefon komórkowy bądź satelitarny. Na trasie wędrowki owce przechodziły badania i zabiegi weterynaryjne, na trasie też, w uzgodnionych miejscach, następował ich odbiór przez kupców z Bliskiego Wschodu, z którymi bacia kontaktował się ze swojego biura przez telefon i internet. Zastanawiam się, co z działalności przedsiębiorstwa tego bacy mógł zauważyć nieczytający rumuńskich gazet turysta-reportażysta, który podróżowałby samochodem. Na pewno mógł zobaczyć owce na hali lub na lokalnej drodze. O tym, że być może zdążają do punktu weterynaryjnego lub do miejsca odbioru przez zagranicznego nabywcę, turysta wiedzieć już nie mógł, podobnie jak nie mógł widzieć telefonów i komputerów bacy i juhasów. Widok owiec na hali czy na drodze mógł turystę-filozofa natchnąć myślą o niezmienności życia rumuńskich pasterzy.

A teraz o pewnym wniosku „incydentalnym”. Otóż w opowiadaniu *Jadąc do Babadag* (którego tytuł jest też tytułem całego zbioru) autor sporo uwagi poświęca postaci rumuńskiego międzywojennego faszysty Corneliu Codreanu pochodzącego z niewielkiego miasteczka Huși. Analizując działalność i mroczne idee Codreanu i opisując na kilku stronach nędzę i melancholię Huși i okolic (widzianych z okien przejeżdżającego samochodu, gdyż autor nie uważał za potrzebne zatrzymać się w miasteczku), wyciąga wniosek o związku jednego z drugim. Inaczej mówiąc, w wyglądzie miasteczka i krajobrazie okolic widzi przyczynę szowinistyczno-faszystowskich poglądów jednego z jego dawnych mieszkańców. „Jeśli ktoś urodził się w Huși i spędził tam młodość, miał prawo

nie wierzyć w przyszłość (...) Trzeba urodzić się w Huși, żeby poczuć trująca woń smutku zjadającego umysł i duszę. Trzeba urodzić się w Huși, gdzie zawracają nawet wrony, żeby pojąć sens snu o wielkości własnego kraju, sens koszmaru. Wtedy zostaje tylko szaleństwo, zostaje obłąd, bo tylko tak można na chwilę podważyć porządek świata, który ma gdzieś Huși, ma gdzieś wieś Valea Dacilor, i nawet wieś Decebal, z rozpaczą cygańskiego taboru na rogatkach, guzik go obchodzi. Huși wzgardzone, Huși odrzucone, Huși śnięte i powłóczące nogami, Huși rozgrzebane przez kury i na wieki wieków amen zatknięte w szczelinie czasu jak złamany patyk. Przyjść na świat w Huși to żyć w zmateralizowanej wieczności. Tam kończy się kolej. Życie w Huși to nieśmiertelność” (s. 276–277). I tak dalej. Jest to ciekawy przykład determinizmu geograficznego. Okazuje się, że jeśli ktoś urodził się i spędził młodość w Huși, to musiał być faszystą. Ciekawe, czy urodzenie lub spędzenie młodości w jakimś dużym mieście poza Rumunią i poza zapyziałą gorszą Europą, np. w Wiedniu czy Monachium, chroni przed poglądami faszystowskimi? A swoją drogą, co to znaczy, że „w Huși zawracają nawet wrony”? Jest to zapewne jakaś metafora, ale mój ścisły umysł badacza faktów jej nie pojmuje.

Powyższy przydługi cytat jest ilustracją niekiedy mętnych i bełkotliwych filozoficznych rozważań autora. Ma się wrażenie, że rozważania te, oparte na bardzo wątpliwych podstawach, mają na celu zapełnienie pustki wynikającej z braku solidniejszej wiedzy. W tym momencie przypomina mi się, co w wywiadzie dla jednej z polskich gazet o „technologii” pisania reportażu przez Stasiuka i przez siebie mówił wspomniany już Karl-Markus Gauss. Otóż Gauss przed wyjazdem w teren dokładnie określa temat reportażu, zapoznaje się z literaturą przedmiotu, nawiązuje kontakty z ludźmi, którzy mogą być pomocni (np. z tłumaczami), itd. Natomiast Stasiuk najpierw wybiera się do upatrzonych, wybranych losowo miejsc, a dopiero po powrocie stara się dowiedzieć coś o tych, które widział. Różnice te powodują, że Gauss dociera do miejsc i ludzi, których nie mógłby zauważyć Stasiuk. Z kolei spojrzenie Stasiuka może być świeże, odkrywcze, nieobciążone wiedzą, natomiast reportaże Gaussa pogłębiają wiedzę o zjawiskach już z grubsza znanych.

Pojawia się pytanie: która metoda poznawania rzeczywistości daje bardziej adekwatny obraz? Ta obciążona zgromadzoną wcześniej wiedzą czy też świeże spojrzenie z zewnątrz? Wątpliwości takie miałem w czasie urlopu spędzonego ostatnio na Majorce. Jadąc tam, byłem już „skażony” wiedzą, m.in. o problemach tożsamości tamtejszej ludności (nakładające się i konkurujące tożsamości: majorkańska, balearska, pankatalońska i hiszpańska) i trudnościach językowych (konkurencji i koegzystencji dialektu/języka majorkańskiego, literackiego języka katalońskiego i hiszpańskiego). Moje obciążenie wiedzą, wyczerpanie na kwestie etniczno-językowe oraz starania, by tę wiedzę pogłębić (m.in. przez regularną lekturę prasy ogólnohiszpańskiej i miejscowej katalońskojęzycznej), sprawiły, że „na każdym kroku” widziałem konflikt tożsamości i języków. Wiele informacji bieżących na ten temat znalazłem zwłaszcza w miejscowej prasie (przywiozłem nawet sporo wycinków z prasy, a także kilka książek,

na których podstawie można napisać spory artykuł), „podsluchując” rodowitych mieszkańców w różnych miejscach wyspy (mogłem w ten sposób stwierdzić, w jakim języku mówią, bo treści prowadzonych szybko rozmów po katalońsku/majorkańsku nie byłem w stanie zrozumieć), śledząc napisy w miejscach publicznych i obiektach prywatnych itd. Ślady konfliktu językowego znalazłem też w pokoju hotelowym, gdzie ktoś pracowicie zdrapał informacje w języku hiszpańskim, zostawiając te w katalońskim i innych językach. Jestem pewien, że zdecydowana większość przebywających na wyspie wczasowiczów konfliktu tożsamości i języków nie spostrzegła. Zauważyła jedynie słońce, morze, piasek, palmy, sklepy z pamiątkami, restauracje itp. Czy mam prawo uważać, że mój obraz Majorki jest bardziej adekwatny, bo dostrzegałem rzeczy, których inni nie dostrzegali lub lekceważyli? Być może to moje spojrzenie było spaczzone nadmierną wiedzą.

Wracając do głównego nurtu tego tekstu: czy można mieć pretensje do autora, że jadąc do Babadag przez Kraj Seklerów, nie zauważył Seklerów? Wydaje się, że można nie mieć pretensji do turysty-filozofa, natomiast można mieć do autora literatury faktu.

Roman Szul